

Ziemia. Czarna. Pachnąca wiosną. Błyszcząca pod lemieszem. Ziemia. Ziemia żyzna, urodzajna. Dająca chleb. Nigdy jej nie miał tyle, nigdy jej nie miał dość. Był tylko szóstym synem ubogiego chłopca. Mógł się nająć na parobka, mógł szukać służby we dworze, albo iść na poniewierkę do miasta. Ziemia mogła być tylko niespełnionym marzeniem. Snem. Pragnieniem. Ale przyszła wojna i przyszli Ruscy i dali mu ziemię. Tak, to prawda: rozkułaczyli Łazowskich. Ale czy Łazowscy nie byli syci ziemi? Czemu było im mało? Dwadzieścia osiem hektarów! Boże! on nawet jednej morgi nie miał, a im dwadzieścia osiem hektarów? Za co? Czy kochali tą ziemię bardziej niż on? Czy bardziej jej pragnęli? Czy jego dzieci, bose i nieraz głodne na przednówku były gorsze od dzieci Łazowskich w wysokich glansowanych butach, w dwurzędowych marynarkach, w pięknej bryczce? Wreszcie: przecież nie zabrali Łazowskiemu całej ziemi, tylko trochę kazali im się posunąć, oddać cokolwiek, zrobić miejsce jemu, jemu właśnie. I kilku, jak on, biedakom. Jak on się tą ziemią cieszył, jak ją kochał! I siedł do tej ciężkiej, znoјnej, codziennej pracy na roli tak, jakby siedł na bal, na zabawę w remizie, na własne wesele. I śpiewał tej ziemi. I modlił się do niej. I był szczęśliwy. Szczęśliwy. Naprawdę. Chyba pierwszy raz w życiu aż tak. Ale w 1941 przyszli Niemcy. I Łazowski jeździł tam do nich, coś załatwiał. I kazali mu oddać ziemię. Jego ziemię Łazowskiemu. Mogli mu zabrać wszystko: żonę, dzieci, konie, krowę, ale nie ziemię. Nie

ziemię. Nie chciał ustąpić. Wiosną wyszedł z orką, ale wtedy ten szczeniak Heniek Łazowski (rosło to było, bezczelne, pyskate) przylazł na pole z parobkiem

- Dokąd ty będziesz siedział na naszej ziemi - krzyczał, wyrwał Pawlukowi lejce, batem przejechał, wygonił jak psa. Od tego dnia Jurko Pawluk znienawidził wszystkich Łazowskich. Wszystkich. A szczególnie Heńka. Modlił się już tylko o jedno: by ich jakaś zaraza wydusiła, by scheźli, by... I obiecywał im i śmierć i karę Bożą, za tą swoją krzywdę, za ten ból, za upokorzenie... Dwaj starsi chłopcy poszli do konspiracji, do kurenia, w domu został tylko najmłodszy Józko i Zosia. To nic, że nie miałby kim tej ziemi obrobić. To nic. Sam by zaharował się na śmierć – byleby była. A tak – szcerniał z nienawiści. Zgarbił się. Zmalał.

A był to czas, gdy z kurenia dochodziły pogłosy, że oto trzeba wyplewić kąkol. Kąkol polski z ziemi ukraińskiej. Że trzeba oczyścić ziemię, trzeba ją oddać Ukraińcom. Więc coś dziwnego, że czekał tego dnia, jak zbawienia? Że liczył niemal godziny, niecierpliwy, kiedy, kiedy to nastąpi? Kiedy będzie mógł wreszcie znów orać, siać, znów...

I przyszedł ten dzień. Było upalne popołudnie szesnastego lipca. Pawluk zobaczył, że od strony lasu idzie tyraliera. Tyraliera

ukraińska. Podbiegł do chłopców i wskazał pracujących w polu Łazowskich:

- *Ich treba... wony zabraly wmene zemlu... ich...* (Ich trzeba... ziemię mi zabrali... ich...)

...i chłopcy poszli...

Upał. Jola schowała się do piwnicy. Musi zrobić do jutra sweter dla Uli, bo już czeka ten dla Konopków, na zarobek. W taki gorąc ciężko machać drutami. Co chwila podnosi wzrok znad roboty, patrzy przez okienko, bo to na podwórku bawią się maluchy Krysia i Ula Joline siostry i dwie dziewczynki tej pani, co to uciekła przed rzezią i teraz u nich mieszka – Kazia i Janeczka. Więc niby tam i Alinka i Antek, niby oni rozsądniejsi, ale przecież to dzieci. Wiadomo, co im do głów strzeli? A słońce dziś takie, że i porazić udarem może. O! choćby teraz Antek biegnie i coś krzyczy... Co on krzyczy?...

- Luuuusiaaaa!... - dyszy - Lusia zobacz!

Jola patrzy za brata ręką machającą gdzieś w tył... na podwórzu stoi... jakiś obcy... marynarka podwiązana paskiem... lornetka na szyi.... siwe włosy. Spocony. Stąd widać jak pot płynie po twarzy. Rozmawia z dziadkami... może chce pić... pewnie... i nagle: strzał! Dziadek osuwa się. Drugi. Babcia.... Boże babcia!

Jola zamiera z przerażenia. Widzi kolejnych mężczyzn wchodzą na podwórze!!!!!! zrywa się i ucieka. Schody. Drzwi kuchenne. Warzywnik. Przez plot. Druty upadają. Potyka się o włóczkę. Wyplątuje się. Biegnie. Biegnie jak oszalała. Droga. Pole. Żyto. Żyto. W życie trupy! Inni jak ona – uciekają. Ktoś strzela. Biegnie. Jeeeeeeeeezuuuuu raaaaaaaatuuuuuj!!!!!! I nagle: uderzenie. Drugie. Ciemność.

Tak: życzył tym ludziom śmierci. Tak: modlił się o nią. Przeklinał ich co rano, co wieczór, co noc. Tak: nienawidził ich całym sercem. Tak: to wszystko prawda. Boże! Boże! Ale teraz, teraz, gdy miał w uszach ich przedśmiertny krzyk, gdy widział krew, gdy widział ich męczeństwo, oddałby wszystko, wszystko, wszystko byleby TO się nie stało, byleby wrócić czas, byleby ich ocalić. Kąkol? Kąkol nie krwawi. Nie krzyczy. Nie wzywa Boga na pomoc. Widział rozdarte dzieci. Widział porąbanych siekierami. Widział zakluty, zamordowanych kulami rozrywającymi, zatłuczonych obuchami. Widział. I nie mógł przestać widzieć. Zaciskał oczy, wciskał w nie pięści – na nic, na nic, na nic. I czuł jak ta krew na nim ciąży. Jak go przygniata. I nie mógł z męki oddychać. I nie mógł się podnieść. Booooożeeeeee!!!! Booooożeeeeee!!!!!! Booooożeeeeee!!!!!! Jurko zrozumiał, że nie ma dla niego odkupienia. Że będzie w piekle. Już jest. Zawsze będzie. I wił się przed ikoną Świętej

Przeczystej. I bił głową o podłogę. I wyl. Wyl. Wyl. Wyl.

Hooooooooooooo.sooooooooodyyyyyyyyy poooooooooyyyyyyuuuuuuuj

- Panie Pawluk niech mnie pan ratuje! ukryje! błagam!!! – usłyszał za plecami. Zerwał się jak oparzony...

Gorąco. Heniek Tolwaj grabi koniczynę. Tu pod lasem nie ma przewiewu. Niby powinno być chłodniej, bo drzewa, ale gdzie tam! Praży niemiłosiernie. Pot ścieka po plecach, lepi się do koszuli. Byle jeszcze ten kawałek. W domu chłód. W domu mleko zsiadłe. Zimne. Z piwnicy. Takie co się da kroić nożem. Szczypiące w język. Jeszcze chwila. Jeszcze kilka razy grabiami machnie. Ciekawe, czy Bronka ugotowała ziemniaki? Kraszone. Słoninką. Ach i to mleko zsiadłe do nich. I koperek. Bo głodny jest nieprzeciętnie. Uf! Wreszcie. Wreszcie koniec! Wziął grabie na plecy. Idzie. Pogwizduje. Ugotowała te ziemniaki, czy nie? Ślinka leci na samo wspomnienie... Strzał? Drugi! Trzeci! Heniek pada na ziemię. Czwarty! Od strony domu! Piąty! Cisza. Jeeezuuuu! z domu wychodzą banderowcy. O! i tam są! idą czarną tyralierą! Tam gdzieś po drugiej stronie Tadzik pasie krowy... Ale na drodze pełno Ukraińców. Co robić? Co robić? Jeeeezuuu! Ojciec! Ojciec biegnie! Jeeeezuuuu! Szósty! Szósty strzał! Ojciec pada! Heniek zrywa się przerażony i ucieka. Już nie myśli o Tadku. Już nie myśli. Leci jak

szalony. Nigdy w życiu tak nie pędził. Droga. Łąka. Wszystko miga tylko w oczach. Szybciej. Szybciej. Oddech świszcz. Za chwilę padnie. Nie da rady. Ale to już Nowe Gniezno. Wpada na podwórze Pawluka. Pusto. Wpada do domu. Pawluk bije pokłony przed ikoną

- *Hoooooospoooooodyyyy pooooomyyyyuuuuuj!* – krzyczy, więc Heniek dopada go i błaga:

- Panie Pawluk niech mnie pan ratuje! ukryje!

Pawluk zrywa się z klęczek. Patrzy na Heńka, jakby go widział pierwszy raz w życiu. To trwa sekundy. Podbiega do skrzyni. Otwiera. Wyjmuje koszulę haftowaną, ukraińską, szura nią po piecu. Po co? A! brudzi!

- *Szynydko* (Szybko) – rozkazuje.

Heniek zdejmuje swoją spoconą. Rozumie: w tej haftowanej ma szansę. Serce bije jak szalone. Dyszy ciężko, ale siada na ławie. Pawluk rzuca jego polską koszulę w ogień. Stawia przed nim miskę

- *Jż. Ty powernumsja z polia. Ty mij syn Jurko. Jedż.* (Wróciłeś z pola. Jesteś mój syn Jurko.)

– Dobrze, panie Pawluk.

- *Batku! Pamjataj: batku!* (Ojcze! Pamiętaj: ojczel!)

Żar taki, że na słońcu nie da się wytrzymać. Ala stoi oparta o ścianę. Je wiśnie. Przy niej czwórka maluchów. Ani ich zostawić, ani z nimi się bawić. Paplają się w piasku. Nudno. Więc z nudów pluje pestkami na odległość. O! rekord! Eeeetam! Przeciaga się. Żeby choć w skakankę, albo w klasy. Żeby choć coś się działo. A tu nic... A jednak. Jakiś obcy pan przyszedł. Rozmawia z dziadkami.

- Luuuusiaaaa! Lusia zobacz - do piwnicy podbiega Antek i drze się do Joli. Ala macha ręką, ucisza go, bo nic nie słyhać o czym dziadkowie z tym panem gadają... To jakiś obcy. Siwy. Ma lornet... Strzela! JEZU! Strzela do babci! Dzieci rozbryzgują się na wszystkie strony niczym stado wróbli. Ala łapie za rękę najmłodszą Krysie. Ogrodem, do drogi. Tuż przy płocie zatrzymuje się. Pochyliła nad siostrą, jakby jej coś przy sukience poprawiała

- Ty się nic nie bój Krysia. Tylko mnie słuchaj. Spokojnie idziemy. Tylko nic nie mów. Pamiętaj: coś powiesz, to nas zabiją – gładzi małą po wystraszonej buźce - pamiętaj: ani słowa. Choćby nie wiem co.

Bierze Krysie za rączkę i tak spokojnie jak tylko potrafi powolnym krokiem wychodzi na drogę. Idą. Serce kołacze. Nogi drżą. Ale idą. Zatrzymują się przy jakimś polnym kwiatku. Wąchają. Zrywają. A wokół już pełno czarno ubranych żołnierzy. Mają karabiny. Siekiery. Są straszni.

- Tylko spokojnie i ani słowa – szepcze do ucha siostrze

- *Stij!* (Stój!)

- *Ne byjte nas! my Ukrainki z Boroczyc!* (Nie bijcie nas! my Ukrainki z Boroczyc!)

- *A szczo robysz w polskomu seli?* (Co robisz w polskiej wsi?)

- *Ja przszła wczytysja njażaty swetry...* (Przyszłam uczyć się robić swetry na drutach...)

Mężczyzna przygląda im się. Od tego wzroku Ali robi się mdło.

A on pochyla się nad Krysia, gładzi ją po główce i pyta

- Jak ma na imię twój tatuś kochanie? – pyta PO POLSKU!

Święty Tadeuszu od spraw beznadziejnych miej nas w opiece!!!!

Ale Krysia milczy. Główka spuszczone. Jakby się wstydziła.

- No, nie wstydź się. Powiedz: jak tatuś ma na imię?

- *Wona boitsja czużuch. Szczę rozpłaczetsja meni i szczo ja tody robytymu?*

Ona się boi obcych. Jeszcze mi się rozpłaczę i co ja zrobię?

- *Ta dobre wżę. Szwydko powertajtesja dodomu. Ne plutajtesa tut.* (No dobrze już. Wracajcie szybko do domu. Nie płaczcie się tutaj.)

Więc Ala odchodzi. Całą siłą woli odchodzi powoli jak-gdyby-nigdy-nic. Serce kołacze. W ustach sucho. Nogi rwą się do biegu. Za nimi strzały. Za nimi krzyki. Straszne krzyki. Za nimi tupot

gonitwy. Powoli. Nie wolno biec. Wtedy nie uwierzą. Zabiją. Idą. Za zakrętem Ala wciąga szybko siostrę w łan żyta. Chowają się. Teraz już biegną. Póki malej starczy sił. Chowają się pod wyległym zbożem. Przytulone. Drżące. A dookoła coraz straszniej. Mimo, że to jasny dzień, niebo pociemniało. Dym czarny gęsty snuje się przy ziemi. Gryzie. Na niebie łuny. Wielkie straszne łuny. Straszliwe krzyki. Ryk bydła. Kwik koni. Wycie psów.

- Ala... głodna jestem

- Ja też...

- Ala... nie wytrzymam

- Wyyytryyyymasz. Coś wymyślę.

I wymyśliła: luskanie kłosów. Gorzej było z piciem. Ale jak ssaly trawę, lodygi... No i rosa. A nad ranem spadł deszcz. Prawdziwa ulewa z piorunami. Krysia popłakuje. Jeszcze ktoś usłyszy! Sama Ala jest bliska płaczu. Czuje się bardzo samotna i bardzo zagubiona. Czuje, że tak naprawdę i ona jest małą dziewczynką, niewiele starszą od maleńkiej Krysi. Żeby choć był tu Antek albo Jola. W końcu mała usnęła. Ala drzemie. Boi się zasnąć. Wie, że w każdej chwili ktoś może je znaleźć. Wie, że tu, w zbożu nie uda jej się już oszukać banderowców. W końcu zasypia twardym, mocnym snem. Śni jej się dom. Śnią jej się wiśnie. Babcia. Babcia.

Jezu! Budzi się nagle. Budzi ją Krzysia ściskająca mocno, mocno jej rękę. Budzi ją szelest zboża. Ktoś idzie.

- Kasia! Marysia! Wychodźcie! już można!

i szelest z prawej. Strzał. Jęk. Cisza.

- *Sterwo. Wony dumały, szczo schowajtusja!* (Ścierwa. Myśleli, że się schowają!) – głos blisko. Bardzo blisko. Jezu! Ratuj! Już będę grzeczna! Ratuj! Ktoś przechodzi tuż koło ich kryjówek. Szelest oddala się. Cichnie. Krysia wciąż trzyma ją kurczowo. Ala płacze. Strasznie płacze.

Pierwszy konny przyjechał, gdy jeszcze słyhać było strzały.

- *Ty sam? Lachiw nema?* (Sam jesteś? Polaków nie ma?)

- *Sam z synom. Drubij i dziewczyna pasut korony bile rieżky. A jakby meni jakyjś Liach trapyłsja...* (Sam z synem. Drugi i dziewczyna pasą krowy przy rzece. A jakby mi się jakiś Lach trafil...) – Pawłuk przejechał ręką po gardle.

- *Dobre, dobre! Baczu, szczo ty b iż żadowolenniam dopomih nam! Zaprahaj dawaj i jidź do polskich domich, byri szczo tobi zhobytsja, bo nwnieczeri budomo palyty.* (Dobra, dobra! Widzę, że byś nas chętnie wyręczył! Weź zaprzęgaj i jedź do polskich domów, bierz co ci się przyda, bo wieczorem będziemy podpalać.)

Z tej wyprawy do polskich wsi przywiózł pod sianem Kleśniowską z matką staruszką, Tadka Tolwaja (Heńkowego brata) i ranną w głowę młodą Wojciechowską. Tak to się zaczęło.

Kurz. Upał. Niby wczoraj była ulewa, ale – gdzie tam – w tym żarze wszystko w mig wyschło. Idą drogą. Krysia trzyma się kurczowo ręki Ali. Dwa dni w zbożu, to było i tak ponad ich siły. Więc Ala wytrzepała sukienki, splotła warkoczyki Krysi. Wytarła buzię. A potem wyszły na drogę.

- Tylko pamiętaj: nic nie mów. Choćby nie wiem co – mała tylko kiwa główką.

Idą w kierunku rzeki. Gdzieś dojdą. Ali mdło ze zmęczenia. Ma ochotę położyć się przy drodze i zasnąć. Jest jej już wszystko jedno. Wszystko jedno czy... a jednak nie. Bo oto raptem czuje, że bardzo, bardzo chce żyć. I ocalić Krysię. Bo zza zakrętu wylania się wóz. Powoli. Koń człapie. Na wozie czterech. Ubrani jak ci wtedy. Ukraińcy. Święty Judo Tadeuszu, Święty Michale Archaniele ratuj! Serce podchodzi jej do gardła. Tylko spokojnie. Tylko spokojnie. Coś poprawia przy buciku siostry. Pochyla się nad nią.

- Ani słowa. Pamiętaj.

Święty Judo Tadeuszu... Święty Michale Archaniele... Nie będę ściągać na lekcjach... Zapiszę się do bielanek... Już nie będę klócić się z Jolą tylko ratuj! ratuj!

- *Kudy idete?* (Dokąd idziecie?)

- *Do titky* (Do cioci) – Ala nawet się uśmiecha.

- *Do titky? A do jakoji?* (Do cioci? A do której?)

- *Do Praski.*

- Mała, dokąd to idziecie? – znów pytają Krysię, znów PO POLSKU

Święty Judo Tadeuszu... Święty Judo Tadeuszu... Święty Michale Archaniele... Nie będę wyjadać mamie śmietany, tylko ratuj! ratuj! Krysia milczy.

- No? a jak masz na imię?

Święty Michale nie opuszczaj! będę dokładnie pielić ogródek i będę słuchać mamy, tylko ochroń! Mała milczy. Tylko buzia jej drży. Zaraz się rozplacze

- *Ce Laszki! Zaraz wbju sterno!* (To Polki! Zaraz ubiję ścierwa!)

Ala widzi lufę karabinu. Widzi śmierć. Byle nie bolało. Byle nie bolało. Święty Judo Tadeuszu, święty Józefie... Stoi spokojnie. Jest gotowa.

- *Daj spokój! Jakby wony były Laszki, toby tikały* (Daj spokój! jakby były Laszki, toby uciekały) – ten z lejcamy zacina konie. Odjeżdżają? Odjeżdżają!!!

Ala tuli siostrę. Mocno. Mocno.

- Kości mi połamiesz – szepcze Krysia.

Stoją jeszcze, tuląc się, gdy z kurzu wylania się następny wóz. To za dużo – myśli Ala – to za dużo jak na jeden dzień. Aniele Strózu mój, czy to nie przesada? Ma ochotę krzyczeć. Ma ochotę wykrzyczeć cały ból, nerwy, całą wściekłość i przerażenie. Zaciska mocno wargi, by wytrzymać i wtedy

- Czy ty nie jesteś mała Sawicka? Ala, prawda? – Jurko Pawluk posunął się na koźle – Wsiadajcie. No nie bójcie się. *Sidajcie. U nas twoja sestra.* (Wsiadajcie. U nas jest twoja siostra.) Gorączkuje. Pomożesz ją pielęgnować.

Drugi konny znów pytał, czy kto z żywych jeszcze Lachów nie płacze się po okolicy. Kazał brać szpadle i iść do Lulówki zakopywać trupy.

- *Ne zalyśzu tebe samoho wdoma. Możyt prijty moi syny, a tody... znajesz...* (Nie zostawię cię samego w domu. Mogą przyjść moi synowie, a wtedy... wiesz...) – powiedział Pawluk, więc Heniek poszedł

razem z nim i z Józkiem. Trupy leżą wszędzie: w domach, stodołach, chlewach, sadach, na podwórzach, drodze, w zbożu. Powykręcane w przedśmiertnych konwulsjach, rozczłonkowane, nadpalone, a niektórzy jakby spali, a niektórzy cali we krwi. Trupy kobiet, mężczyzn, dziewcząt, chłopców, dzieci. A nad nimi mdły zapach padliny. I muchy. Tumany much. Miejscami sypią się z nich białe robaki. Miejscami, zwłaszcza w polu, muszą odganiać stada wron. Heniek rozpoznaje znajomych, krewnych, kolegów z klasy, dzieciaki sąsiadów. Stara się nie myśleć jaką śmiercią zginęli. Co czuli. Stara się tylko zapamiętać ich imiona: Godawów Anna (była w ciąży), Gieniek, Edek, Rosjanin, co się u nich ukrywał, Ostrowskich babcia – Tekla, Klesznów ojciec – jak mu było? Al Ksawery i Danusia, Danusia ze złotym warkoczem, Lisowskich Maria (ta też była w ciąży), Jan, maleńki Edzio i babcia Leosia, Skawińscy oboje, i jeszcze Jadźka z Władkiem i ich Rajdek, Wszystkie dzieciaki Wojciechowskich... Rozalewiczów... taki drobiazg! Marysia Gorczyca z tym ich najmłodszym... Równocześnie każdy nie znaleziony budzi nadzieję: Mietek, Maryjka, Zosia, Stefa, Czesiek.... przeżyli? Boże! Może przeżyli! Boże miej ich w swej opiece! Mówi w myśli pacierze i pracuje. Doły muszą być w miarę głębokie. Czasem na kilka osób. Stara się zapamiętać gdzie je kopią: za stodołą, przy domu, w ogrodzie, na polu. Pracuje jak automat. Jakby sam był gdzieś obok. Jakby oglądał jakiś straszny film. Tylko modlitwa. Modlitwa. Powtarzana

w kółko, namiętna, bolesna. Boi się co będzie, gdy dojdą do jego domu. Kogo tam znajdzie. Sześć strzałów. Pamięta dobrze: sześć. Jeden, ten ostatni to tato. Tatuś. Tatulek. Jego znajdzie na pewno. A pozostałe? Tadek żyje. Jest schowany w stodole Pawluka. A reszta? mama? Bronka? Józek? Gienia? Marysia? Stasia? Jasiulek? Boi się widoku tych najukochańszych. Widoku ich śmierci. A równocześnie pragnie ich pochować sam. Czule. Serdecznie.

Właśnie kopali dół za stodołą Skawińskich (Aleksander... brak matki i trójki dzieciaków – chwała Bogu!... Stasia Maksymowicz z maleńką córeczką... ile ona mogła mieć?... dwa?... trzy latka?... pani Burgerowa... stary Feliks Dyszczakowski). Właśnie kopali dół, gdy nadszedł patrol: sześciu z karabinami. Szli przeglądając każdy zakamarek. Szukali. (Boże spraw, by oślepli, by nikogo nie wypatrzyli!). Stanęli. Zapalili. Przyglądają się. Heniek czuje, jak robi mu się zimno, jak drętwieje ze strachu. Nie może opanować drżenia rąk. Może nie spostrzegą?! Spostrzegli.

- *A tebe czego tak truszyt? Szkoła tobi jich?* (A ty co się tak trzęsiesz? Żalujesz ich?)

- *Może ty Lach?* (Możesz Polak?)

- *Tfu! Jakij win Lach! To Jurko, mij syn krow wid krowi, kistka wid kistki, czesnyj Ukrainiec* (Tfu! jaki on Polak! To Jurko, mój syn krew z krwi, kość z kości, uczciwy Ukrainiec!) – Pawluk szybko zasłania sobą Heńka – *Mołodyj szczę. Perszi trupy w żyty baczyt... wid tobo jomu*

i młoso. Ale win wypranytsja! Bila mene toczno wypranytsja! Może, majete szczęs zakuryty? Bo w mene skinczylysja... (Młody jeszcze. Pierwsze trupy w życiu widzi... to i go zemdlilo. Ale się wprawi! Przy mnie wprawi się na pewno! Macie co może zakurzyć? bo mnie się skończyły...)

Poczęstowali go. Zapalił. Chwilę jeszcze rozmawiali. Poszli. Ile to mogło trwać? Pięć? Dziesięć minut? Ale dla Heńka to były godziny, lata całe. Gdy zostali sami usiadł na ziemi i rozplakał się, rozszlochał jak małe dziecko.

- *Na sobodni dosyt.* (Na dziś dość.) – powiedział Pawluk – *Powertajmysja.* (Wracamy.)

- To nie ma sensu. Oni mnie i tak znajdą. Oni mnie znajdą i zabiją jak tamtych! Słyszysz pan?

- *Ne pan, a batko. Ja tobi wże howoryw. Chody* (Nie pan, tylko ojciec. Już ci mówiłem. Chodź) – podał mu rękę, podniósł – *Ty musysz wyżyty, synku. Jakszczę tebe spijmajut, to i mene wbjut, i moich detej, i żinku. Ty coho ne chceszesz, ehe ż? A szczę z tymy w stodoli? Szczę z Tadekom? Pro niobo podumaj. Jomu szczę żyty i żyty.* (Ty musisz przetrwać synku. Jak ciebie złapią to i mnie zabiją, i moje dzieci, i babę. Chyba nie chcesz tego, co? A co z tymi w stodole? co z Tadkiem? O nim pomyśl. Jemu życie mile.)

Boli. Wszystko boli. Nawet włosy. Tylko czemu leży... w zbożu?
Boli. I tak strasznie chce się pić. I tak trudno podnieść rękę.
A to co? Krew? Skąd krew? Pełno krwi. W głowie się kręci. Więc może... Jola próbuje zgiąć kolana. Bola. Ale jakoś trzeba... wstać.
Powoli podnosi się. Najpierw na czworaka. W głowie tak się kręci.
Tak kręci. Pić. Chyba ma gorączkę? Tylko... czemu w zbożu?
Powoli, zataczając się idzie. Nie bardzo wie dokąd. Trupy.
Wszędzie leżą trupy. Czemu?... Krew... A! więc i ja... To wszystko jak koszmarne sen. Jak zza mgły... Jakby to nie ona... Szum w uszach. Piekące pragnienie. Pulsująca pustka w głowie. Zboże się... skończyło?... A!... Lulówka! W pierwszym domu... pusto.
Tylko pies... wyje. A to co?... Pan Maksymowicz? Leży... martwy.
A obok Stasia. Ma... tylko pół twarzy. I Helenka. Helenka już właściwie na drodze. Krew. Dużo krwi. Jola zatacza się, idzie. Wieś pusta. Miejscami dopalają się budynki. Tylko te trupy. Pełno trupów. Może i ja umarłam? myśli. Tylko czemu tak boli... i chce się pić... Usiadłaby pod płotem... Ale nie ma płotów... spalone. Nie ma siły... kręci się w głowie... zatacza... ale idzie. Wciąż idzie. Nie bardzo wie dokąd. Nie bardzo wie gdzie jest. Czy to prawda? Czy to sen? Może sen? Tylko czemu... tak boli. I mdło. I pić się chce.

- *Hospody!!!! Szczę ty tu robysz??????* (Boże!!!! Co ty tu robisz???????)
...ktoś krzyczy?... kto...

- ...pić. Pić! - szepcze Jola. Świat wiruje. Ciemność. A potem czyjes ręce.... Boooooiiiiiiiiiiii!!!!!!! Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!
- Cicho! cicho dziecinko! Zaraz cię opatrzymy. Boże co oni z tobą zrobili... – ktoś pochyła się... pani Hapke? Alina???? Ciemność.

A potem: w półśnie, w pół jawie jacyś ludzie, stodoła, noc. Trzęsie się z zimna. Nie może wytrzymać. Szczeka zębami. Stukają jak cepy w czasie młócki. Ktoś otula ją. Daje pić. Pije chciwie, ale ręka, która podtrzymuje głowę parzy. Uwiera. Przeszkadza. I jakieś odległe światło. Mama? Dom? Tato? Babcia? Pies wachluje ogonem. To nie pies. I tylko czemu tak boli. Ciemność. A potem gorąco. Duszno. Nie może oddychać. Nie może złapać powietrza. Dusi się. Tonie. Tonie. Tatusiu ratuj! To nie tatuś to jakiś obcy pan. Siwy. Ma tak śmiesznie podkasaną marynarkę. Lornetkę... rozmawia... z kim? z nią? z babcią? Strzela. Jola nie może uciekać. Nie może się podnieść. Nie może się ruszyć. Raaaaaaatuuuuuuj Jeeeeeezuuuuu! Raaaaaatuuuuuj!!! Mamo!!!! Mamo!!!! ucieeeeeekaaaajcieeeeeee!!!!!!

- *Tiiichooo! tiiichooo ditinko!* (Ciichoooo! ciichoooo dziecino!) – jakieś ręce tulą. Mama? Nie... pani Hapke.... i ta Ukrainka... Pawlukowa....

Ala dźwiga wiadro razem z Zosią Pawluków. Miła ta Zosia: taka jasna i cicha. Dawniej, w szkole dwa oddziały wyżej nie rozmawiały by ze sobą zbyt często. Ot starsza koleżanka z młodszą. Teraz stały

się sobie bardzo bliskie, serdeczne. Przywykły wszystko robić razem. Przywykły wszędzie razem chodzić. Nawet śpią obok siebie, choć Ala czasem idzie spać do stodoły, do Krysi. Malutka przecież, popłakuje za matką. Przy Joli też jest mnóstwo zachodu. Prawie cały czas nieprzytomna. Bredzi. Cud, że żyje, tak pokluta. Tyle, że Jolą lepiej zajmą się starsze kobiety. One muszą siedzieć w ukryciu. A ona może kręcić się po gospodarstwie. Bo Ala udaje Olechnę, córkę Pawluków, młodszą siostrę Zosi. Heniek Tolwajów udaje ich syna. I tylko oni we dwoje cokolwiek mogą pomóc w obrządku, przy żniwach, przy opiece nad kilkunastoma ocalałymi Polakami. Ile to trzeba chleba napiec. Ile zupy nagotować. I to nie na raz. Bo jak przyjdą i zobaczą taki wielki gar, to jak się wytłumaczysz? W domu tylko piątka ludzi, a zupy jak dla całej sotni. Więc cztery-pięć razy na dzień nastawiają, ot, taki zwykły garnek. Obierki od razu świniom, żeby śladu nie było. Chleb tylko się upieczce, zaraz nowy trzeba zacząć. Ziarno zemleć. Na mąkę. Na kaszę. A wody nanosić dla tylu ludzi. Bo to i upał, i pić się chce, a przecież prawie każdy ranny. Niektórzy, jak Jola czy pani Natalia gorączkują. Rany ropieją. Trzeba je przemywać, czyścić. Pawlukowa ostatnie prześcieradła oddała na szarpię. Zużyte zaraz trzeba palić. Każdy ślad zacierać. Każdy trop ukrywać. A jeszcze oczy mieć dookoła głowy. Uważać. Stale w napięciu. Stale w gotowości. W ciągu dnia co i rusz konno lub pieszo przechodzą patrole. Szukają niedobitków. Potrafią zajrzeć

nawet do pieca, pod łóżko, do piwnicy, na strych, przetrząsają stodoły, sásieki, spichlerze, chlewy, stajnie, stogi... Więc ludzie cały dzień ukryci w zbożu, albo w maliniaku za domem. Bez ruchu. W ciszy. Dzieci nauczyły się milczeć. Ranni nie jęczą, nie krzyczą. A wciąż dochodzą nowi. Ci co nie mogą przejść przez rzekę, bo za starzy, albo za mali, ranni, pobici, śmiertelnie znużeni, śmiertelnie przerażeni, obolali. Ciągnął ze wszystkich stron, jakby to liche gospodarstwo Pawluka było jedyną wyspą na oceanie, jakby było ostatnim ocalałym domem w świecie, gdzie tylko śmierć, w świecie, gdzie tylko męka. Jakby ci Pawlukowie byli ostatnimi ludźmi na Ziemi. Jedynymi ludźmi wśród stad wilków i wilkołaków.

Noc. Chłodna. Sierpniowa. Niebo wygwieżdzone. Zdałoby się wyciągniesz rękę – dotkniesz gwiazd. A niektóre spadają. Deszcz. Świetlisty deszcz. Trochę jak iskry z wielkiego ogniska – tylko wolniej, jaśniej, piękniej. Świerszcze. Świerszcze grają. Melodię nachalną, mocną, urzekającą. Melodię chwalcącą życie, niebo, łąkę, pulsującą, jak unoszona oddechem pierś. Jak falujące zboże. Jak rytm złączonych miłością ciał. Jak uwielbienie. Noc. Wóz. Konie. Czy to możliwe, by w tak cudną, czarowną noc jechać stępa, wozami pełnymi młodych chłopców, nie na wesele jakiegoś, nie ku miłości, młodości, radości, ku śpiewaniu, tańcom, życiu, a czarną doliną śmierci, pogorzelisk i trupów? Jakiś dysonans. Jakies

pęknięcie. A jednak. To tu, niespełna miesiąc temu ginęły w płomieniach szlachetne araby. Ginęły tylko dlatego, że polskie. To tu, w miejscu dawnych domów, ogrodów, alej, sadów sterczały osmalone kominy, niedopalone belki, bieląły rany pościananych drzew. Gdzieniegdzie, w bladym świetle księżyca kości. Gdzieniegdzie kopce świeżej ziemi – znać – mogiły. Zamiast woni kwiatów – swąd. Zamiast rozświetlonych gwarem jasnych okien – pustka wypalonych oczodołów. Cisza. A oni mówili głośno. Mówili o rzeczach odległych. O krajach dalekich, o zasłyszanych baśniach. Mówili. Mówili. Mówili. Wiedzieli, że jak zamilkną dopadnie ich groza, rozpacz, ból. A oni – ta garstka zaledwie chłopców niespełna dwudziestoletnich, uzbrojona przez dobrego Czecha (dowódcę oddziału niemieckiego w którym raptem był tylko jeden Niemiec, reszta Ślązacy, Kaszubi i Czeși), więc oni dumnie zwani samoobroną, nie mogą sobie pozwolić na rozpacz, ból, przerażenie. Muszą dowieźć do Hrochowa żywność – bo w miasteczku przepelnionym uciekinierami – głód. Muszą przeczesać okolicę – bo wciąż jest nadzieja, że ktoś, gdzieś, że znajdą się żywi. Może nawet śmiertelnie ranni – ale godni godnej śmierci, w pościeli szpitalnej, wśród swoich, bezpiecznie. Kilka dni temu do Hrochowa dotarła wiadomość, że u Pawluka ukrywa się kilka, może nawet kilkanaście osób. Że jest wśród nich Jola Sawicka bardzo ranna, że potrzebuje lekarza. Trochę to wszystko brzmiało nieprawdopodobnie, ale... czy można było taką

wiadomość zbagatelizować? Czy można było nie usłuchać prośb zrozpaczonej matki, która odzyskała iskierkę nadziei, że nie tylko Ula ocalała? Uprosiła chłopców i teraz jedzie z nimi. Jedzie i nie może się już doczekać. W końcu dojechali do zagrody Pawluka. Z początku nie mogli się dostukać, dowołać gospodarzy. Ale ktoś rozpoznał głosy: Mundek Sawicki! Rysiek Rabczyński! Jasiek Madura! Nasi! Nasi! Nasi! Ze stodoly, z maliniaka wysypują się ludzie. Moc radości, przywitań, łez. Pakują się na wóz. Chłopcy niosą na rękach Jolę. Ktoś podtrzymuje pod ramię Wojciechowską, by nie upadła. Liczą drobiazg dziecięcy, sprawdzają, czy są wszyscy, nawołują, zliczają. Dwadzieścia jeden osób! Aż trudno uwierzyć. Dwadzieścia jeden osób i to przez trzy bite tygodnie! Jedna pani Hapke milczy. Pani Hapke – Niemka z osadników, której cała rodzina zginęła, za ukrycie Polaków podczas rzezi.

Jakoś bardzo ucichło, gdy odjechali. Ucichło? Toż to co noc, co dzień było cicho. Ale nie. To inna cisza. Tamta dławila gardła. Kazała wstrzymywać oddech i nasłuchiwać. W tamtej czuć było grozę. Słysząc bijące przerażeniem serca. Ta cisza pełna pokoju. Pokoju w sercu. Pawlук tylko długo w noc klęczy przed ikoną Świętej Przepysznej. Po poranej zmarszczkami twarzy płyną łzy. Łzy wdzięczności Matce za ocalenie. Wdzięczności Bogu za odpuszczenie win.